

Piaśnickie Bielmo

Pewnego dnia listopadowego
jednego z wielu, zdaje się – zwyczajnego,
co to w głębokiej jesieni zanurzony
utula do snu świat, jakby sam wysniony...
Dnia takiego właśnie nadchodził ciepła kres,
a chmury były ciężkie... od też!

Bo lasem piaśnickim na stracenie szły marzenia.
Szły dojrzałe, ze znamieniem doświadczenia,
szły jakby ikarowe: ambitne, lśniące
w przestworzach, ciężaru ziemi nieznające
i szły też nieśmiało, zupełnie maleńkie,
lecz z serca, które wyrosło już tak wielkie!

Bo to szli tam ludzie z imieniem, realni
niczym płatki w śnieżycy – niepowtarzalni,
nie tylko z krwi i kości, lecz też z duszy,
uczuć, pragnień, przemyśleń i tego, co wzruszy
w całej istoty ludzkiej jednostkowości!
A też skupiali się na codzienności,
też się serdecznie śmiali, rzewnie płakali,
czymś się fascynowali, kogoś kochali
i dla innych się poświęcali: tak dbali,
uczyli, społecznie działali, leczyli.
Aż dziw: ludzie, określani jednym mianem,
niby różni, a tak bliscy nam zarazem!

Lecz wszystko to zniknęło z ostatnim tchem,
gdy ciepła krew łączyła się z zielonym mchem,
po tym, jak padł strzał... a po nim ciało...
A oko tego, kto strzelał, nie patrzyło
na nic prócz jednego miana – Polaka...

Pewnego dnia, z pozoru zwyczajnego
człowiek jeden ujrzał człowieka drugiego,
ale w nim człowieka nie widział.